

Z cyklu: MARZENIA ŚCIĘTEJ GŁOWY
Dramat w odmętach oceanu

„Naokoło Świata”,
nr 58 z 1929 roku

Podczas seansu ze słynnym medium, p. Jadwigą Demońską, zmanifestowała się istność, występująca jako zmarły powieściopisarz amerykański, Jack London. Powstrzymując się na razie od analizy, podajemy komunikat bez żadnych zmian i komentarzy.

Jednomasztowiec „Beri-Beri” walczył z gwałtownym szkwałem. W miarę wzmaganie się wichru morze pęczniało straszliwie. Barometr spadł z hukiem do 754 milimetrów i rozbił się na drobne kawałki.

Sytuacja stawała się beznadziejna. Od godziny kapitan Raul Piff trwał w odętwnieniu. Co chwila zawijał w bibułkę uncję chininy i łykał, popijając whisky. Czuł nadludzkie napięcie woli i mięśni pod bluzą z cienkiej tkaniny. W przerwach między atakami febry sięgał za pas, wyjmował colta i strzelał do leżących na pokładzie dzikusów z archipelagu Chloroforma.

Morze piętrzyło się, jeżyło, dawało susy. Fale wyskakiwały jak korki z wiadra wody. Były to wypryski potworne, wysokie na osiemdziesiąt stóp. Gdy pierwszy bałwan padł na pokład, zrobił wyrwę wśród pasażerów. Kobiety z Raratonga, ludożercy z Melburnu, banany, kokosy, złotopióre kokoty z Fuatino, groty, bajde windy, bajadery z Fudzi-Yamy, szlupbelki, wszystko to wał wodny zmiotł do morza. Jednocześnie dał się słyszeć trzask piekielny. Potęgą oceanu rozdarła szkuner na dwie równe połowy, rozplatała, zmiążdżyła na drobny farsz, na drzazgi.

Do stóp niezwykłego białego człowieka rzucił się jakiś cień. Był to Lari-Fari, śmiertelny wróg Piffa, ukrywający się dotychczas w zanadrzach okrętu. Mikronezyjczyk szczełkał ze strachu zębami, czepiając się szat kapitana.

Lari-Fari, potomek kacyka z wysp Pirenezyjskich, miał uszy przedziurawione nie w jednym miejscu, nie w dwu, lecz w kilkadziesiąt miejscach. W najmniejszej dziurce nosił glinianą fajkę. Większe dziury nie nadawały się do fajek, albowiem główka przechodziła przez nie z łatwością. Z pozostałych otworów sterczały wystrzelone naboje karabinowe, żarówki, filizanki i pudełka od konserw.

Kapitan Raul Piff nienawidził go z całej duszy, gdyż krajowiec ten był pierwszym kochankiem jego żony, uroczej Ostrogotki Womitu z Telekinezji.

– Czego chcesz czarny diabeł-diabeł od białej twarzy? – zagadnął kapitan, władający biegle dialektem „bêche-de-mer”.

Woda wdzierwała się gwałtownie i już dosięgła kolan klęczącego Murzyna.

– Mój nie może pływać, mój mieć zwichniętą nogę, mój nie chce być kai-kai przez rekiny – jęknął Lari-Fari.

Piff mógł pozostawić rywala na pastwę szalejącej burzy, lecz wrodzona szlachetność białej rasy przemogła. Wskoczył do szalupy, zakręcił lewym halsem, a prawy podał dzikusowi.

Strzaskany szkuner pogrązał się tymczasem. Chwilami znikał pod powierzchnią wody, to znów wypływał, by zaczerpnąć powietrza, lecz widocznie opuściły go siły, gdyż po upływie paru minut na powierzchni morza nie było już nic, prócz szalupy. Siedział w niej opalony na raka biały człowiek, wpatrując się badawczo w oczy Negra, który nie wypuszczał z rąk farwateru.

– Lari-Fari – przemówił kapitan. – Ty uwodzić Womitu, co była moja, bardzo moja żona. Ty mnie nagrodzić krzywda, moja bardzo, za bardzo wielka krzywda.

Słowa te zabrzmiały ponuro na tle myszkujących rekinów tygrysich.

– Jak ja tobie nagrodzić twoja krzywda? – zapytał Murzyn.

– Mój rozwieść się z Womitu. Lari-Fari ożenić się z Womitu, bardzo ożenić się z Womitu, żeby cała wyspa wiedzieć, że biały Piff nie chce Womitu, a czarny Lari-Fari bardzo chce Womitu.

Twarc Murzyna stała się popielata ze strachu. Znieruchomiał, po chwili złamanym wykrzyknął głosem:

– Mój nie chce Womitu! Mój woli być kai-kai!

Nim kapitan zdołał połapać się w sytuacji, Lari-Fari wypuścił z rąk altfater i pogrążył się w wodzie.

Ukazało się fosforyzujące cielsko olbrzymiej ryby. Był to żarłacz tygrysi.

Tonący Murzyn uderzał mdlejącymi dłońmi w powierzchnię oceanu dla odstraszenia rekinów. Nierówna walka trwała krótko. Z odmętów wynurzyła się potworna płetwa, następnie pysk z półksiężycem zębów, zakotłowało się morze i wszystko znikło.

Do uszu kapitana doleciał jęk pożeranego przez ryby człowieka.

Władysław Zambrzycki